POLITYKA

KOMENTARZE

Dziś „da się wszystko”. Po wyborach będzie gorzej

MIKOŁAJ WÓJCIK redaktor działu Polityka

Choć kampania wyborcza zbliża się do finiszu, polityków, którzy mają największe szanse na objęcie teki premiera, trzeba niemal wołami zaciągać, by opowiedzieli o konkretnych propozycjach rozwiązania problemów Polaków – nie tych wyimaginowanych, ale realnych – takich jak problemy pana Michała czy pani Joanny.

Jak ryby w wodzie liderzy czują się na konferencjach prasowych. Wrzucają swój temat, a liczą, że zadających pytania dziennikarzy i tak bardziej zainteresuje ich reakcja na najnowszy sondaż czy wypowiedź konkurenta.

Jeden lider nie chce debatować. – Bo będą manipulować – mówi. Za to przynajmniej prezentuje projekty zmian w prawie. Tylko, kto z wyborców wczyta się w kilkunastocentymetrowej wysokości stos np. ustaw podatkowych? Drugi mówi, że „ludzie nie oczekują recept, chcą tylko, by ich wysłuchać”. Na pytanie „jak żyć?”, odpowiada więc, że na pewno lepiej będzie z nim jako premierem niż z tamtym.

Zamiast realnych pomysłów na rozwiązanie problemów, mamy festiwal zapewnień, z kim nie będą współrządzić. I obietnic uczyniania z Polski krainy wiecznej szczęśliwości, gdy tylko damy władzę temu, a nie tamtemu. Gdy kampania się skończy, pewnie usłyszymy, dlaczego „się nie da”.

Czego się boi trefniś

ŁUKASZ WARZECHA komentator Faktu

Dzisiejsze wydanie „Wprost”, rzetelnego pisma, redagowanego przez wiarygodnego i uczciwego redaktora Tomasza Lisa, ma na okładce facjatę głównego trefnisia III RP. Piszę „trefnisia”, nie „błazna”, bo nazwanie wspomnianego pana błaznem byłoby obrazą dla błazeńskiej profesji. Błaźni – wraz ze swoim najsłynniejszym polskim przedstawicielem Stańczykiem – mieli to do siebie, że nie bali się wygarnąć także, a może nawet przede wszystkim – królowi, u którego służyli. Na tym budowali swoją pozycję i wiarygodność. Pan z okładki, który ogłasza na niej, że się „boi PiS”, na miano błazna, zatem ewidentnie nie zasługuje, bo nigdy wobec swojego króla nie podskoczył. Przeciwnie – merda przed nim nieustannie ogonkiem, wychodząc wprost z siebie, żeby dowieść swojej przydatności w podgryzaniu innych. Bardziej zatem pasuje doń miano trefnisia – głupkowatego popychadła, którego głównym zajęciem jest stawanie na rękach i robienie za małpkę.

Pozostaje pytanie, jakąż to wielką krzywdę wyrządził PiS trefnisiowi i czym mu tak zagroził, że ów trefniś tak się tej partii boi. Ale tego się raczej nie dowiemy. Trefniś, w przeciwieństwie do błazna, miał to do siebie, że nie był od gadania. Na to był zwyczajnie za głupi.

LEWY SIERPOWY

Z wódki do polityki

JANUSZ ROLICKI komentator Faktu

Palikot konsekwentnie robi nam wodę z mózgu. Przyodział się w kostium lewicowca, co płacze nocami nad losem ubogich. Jeśli zadamy sobie trud prześledzenia jego życiowych meandrów, bez trudu rozpoznamy w nim cynicznego i pozbawionego poglądów cwaniaka. Za nic ma elementarną przyzwoitość. Dla zaspokojenia ambicji, jak wynika z wydanego z nim wywiadurzeki, zrobi wszystko. W książce tej, poświęconej ludziom Platformy, ale nie tylko, gęsto relacjonuje prywatne rozmowy, ploteczki i fakty przez siebie sprowokowane. Nie zważa przy tym, czy komuś tym szkodzi, wyjawiając zasłyszane sekrety. Chodzi mu o jedno – zaspokojenie wybujałego ego. Po sukcesach w produkcji wódki przyszedł czas na politykę.

Palikot dostał się do niej tylnymi drzwiami. Najpierw wydawał superprawicowy tygodnik „OZON”, a dzisiaj jest antyklerykałem i lewicowcem. Jako poseł występował w roli świętego Mikołaja, obdarowującego posłów kosztownymi wódkami, winami i częściami przyodziewku. Wydawał drogie kolacje, obiady i... w nagrodę wdrapywał się w hierarchii PO. Jego droga przez kuchnię i bufet musi wzbudzać co najmniej niesmak. Obecnie jako Lepper bis zgromadził pod swymi sztandarami zespół od Sasa do Lasa przypominający Samoobronę, tyle że miejską. Zimno się robi na myśl, że taki jegomość może współdecydować o losach kraju!

Grzegorz W. Kołodko Nie będą rosły płace i emerytury, a ludzie wyjdą na ulice demonstrować przeciwko „zaciskaniu pasa”. Za dwa lata sytuacja zacznie się poprawiać

Kryzys wyg oni ludzi na ulice

Z GRZEGORZEM W. KOŁODKĄ rozmawia Anita Sobczak

Czy kryzys, który toczy dziś Europę, może zakończyć się wojną, jak wieszczy Jacek Rostowski?
– Nie „wieszczy”, lecz opowiada bzdury. Ciekawe, kto z kim miałby w tej wojnie Rostowskiego walczyć i do której armii on sam by się najął?...

Jakie są zatem scenariusze rozwoju, jeśli chodzi o kryzys w Europie?
– To czas zamętu, ale Europa sobie poradzi i wyjdzie z tej zawieruchy wzmocniona. Wpierw jednak przejściowo zwiększone zostaną wydatki budżetowe, bo ich cięcie spowodowałoby, ograniczając wydatki, jeszcze większą zapaść produkcji i zatrudnienia. Upadną – i słusznie – niektóre banki (w Polsce nie), które nieroztropnie udzielały kredytów. Przejściowo nie będą rosły płace i emerytury, a w konsekwencji konsumpcja różnych grup ludności. Ludzie będą wychodzić na ulice i demonstrować przeciwko „zaciskaniu pasa” (w Polsce też). Po kolejnym roku, dwóch latach stagnacji nastąpi ożywienie i Europa zacznie odzyskiwać konkurencyjność. W tym czasie Azja pójdzie ostro do przodu, ale USA nadal będą miały ogromne kłopoty. Tam nie będzie żadnego przełomu przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi.
Tak więc kryzys będzie stopniowo przezwyciężany. Pokazał on wyraźnie, jakie są główne słabości Unii Europejskiej. Po pierwsze, brak właściwej koordynacji ponadnarodowej polityki gospodarczej, zwłaszcza pieniężnej, którą nadzoruje Europejski Bank Centralny, z polityką budżetową (podatki i wydatki publiczne), którą zasadniczo wciąż prowadzą poszczególne państwa. I czasami czynią to fatalnie, doprowadzając do sytuacji podbramkowej, jak chociażby w Grecji, choć nie tylko tam. Po drugie, potrzebne są nowe rozwiązania organizacyjne, które ułatwią taką koordynację.

Czy kontrolowane bankructwo Grecji rozwiązałoby problemy strefy euro?
– Nadużywa się słowa „bankructwo”. Grecja nie zbankrutuje, nie zbankrutuje też Unia Europejska. Państwa nie bankrutują. Natomiast Grecja musi ogłosić niewypłacalność i niespłacalna część długu musi być spisana na straty. Za to zapłacić muszą nie tylko Grecy, lecz również banki, głównie francuskie i niemieckie, które lekkomyślnie pożyczały Grecji pieniądze. Zapłaci za to również Unia Europejska, a więc kraje członkowskie, czyli podatnicy (po części także polscy), tak bezpośrednio, jak i pośrednio dopłacając z kolei do tych banków. Redukcja zadłużenia Grecji – może nawet o połowę – jest mniej kosztowna niż chaotyczna niewypłacalność. Tak więc „kontrolowane bankructwo” Grecji problemów strefy euro samo z siebie by nie rozwiązało, ale odwróciłoby niekorzystne tendencje.

Kołodko
»Dezintegracja euro zapoczątkowałaby dezintegrację Unii Europejskiej – tego największego osiągnięcia w dziejach Europy«
prof. Grzegorz W. Kołodko, były wicepremier i minister finansów, dziś wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego

A czy Grecja powinna wyjść ze strefy euro?
– Nie. To byłby kolejny, jeszcze większy błąd po serii już popełnionych pomyłek. Taki krok wywołałby trudne do powstrzymania naciski na wyjście z tej strefy wpierw Irlandii i Portugalii, a potem i innych państw. A dezintegracja euro zapoczątkowałaby dezintegrację Unii Europejskiej – tego największego osiągnięcia w dziejach Europy.

»Polska prezydencja? Tak jak się obawiałem, w ferworze kampanii wyborczej Polska nie stanęła na wysokości zadania i nie wykorzystuje danej nam raz na kilkanaście lat historycznej szansy. To ciężki grzech rządu premiera Tuska i Platformy Obywatelskiej«

Grecja ma zasadniczo zredukować swój dług publiczny, spłacając jego część poprzez obniżenie poziomu konsumpcji ludności żyjącej ponad stan, czyli na kredyt. Już się to z bólem dokonuje poprzez zmniejszenie niektórych wydatków budżetowych i podniesienie podatków, a więc zmniejszenie dochodów netto. Jeśli będzie to robione z głową i konsekwentnie, to pilnie powinna też zostać skreślona część zagranicznego zadłużenia Grecji. Sądzę, że stanie się to na przełomie roku.

Rozwiązanie strefy euro jest pana zdaniem realne?
– Nie jest nierealne, ale jest bardzo mało prawdopodobne. Nawet gdyby Grecja popełniła życiowy błąd i dała się wypchnąć z euro, to strefa wspólnej waluty przetrwa. Upadłaby natomiast, gdyby z niej wystąpiły Niemcy, a te nie mają w tym żadnego interesu.
Ale trzeba mieć wyobraźnię. Nic nie jest wieczne, a rzeczy miewają tendencję do wymykania się spod kontroli. Sprawy jednak nie biegną w tym katastrofalnym kierunku. Bo byłaby to katastrofa. Wprowadzenie wspólnego pieniądza to, obok poszerzenia Unii o kraje posocjalistycznej transformacji z naszej części kontynentu, największe osiągnięcie na scenie europejskiej. Wspólna waluta, eliminując spekulacje wokół wahających się kursów i obniżając tzw. koszty transakcyjne (nie płaci się marży przy nieustannej wymianie, bo jej już nie ma), podnosi konkurencyjność gospodarek eurolandu. Dzięki temu mają one wyższe tempo wzrostu, większe zarobki, lepsze warunki życia.

Co by się stało, gdyby euro jednak upadło?
– Konsekwencje upadku euro byłyby opłakane. Spowodowałoby to chaos, przy którym obecne trudności to przedszkolne ćwiczenie. Ogromny byłby bałagan nie tylko monetarny, bo też ekonomiczny, społeczny i polityczny, co wywołałoby falę zaburzeń w rozliczeniach finansowych i poważną recesję. Pociągnęłaby ona za sobą ostry spadek dochodów i wzrost bezrobocia. Azja w międzyczasie jeszcze bardziej zmniejszyłaby dystans dzielący ją od Europy, a Ameryka Północna jeszcze bardziej by go zwiększyła.

Polska prezydencja przypada na trudny czas. Czy dobrze wypełniamy swoją rolę, czy Polska sprawdza się w tych kryzysowych czasach?
– Absolutnie nie. Tak jak się tego obawiałem, w ferworze kampanii wyborczej Polska nie stanęła na wysokości zadania i nie wykorzystuje danej nam raz na kilkanaście lat historycznej szansy. To ciężki grzech rządu premiera Tuska i Platformy Obywatelskiej. Żadna z istotnych inicjatyw w sferze przezwyciężania kryzysu na krótką metę czy też nowatorskich, postępowych rozwiązań instytucjonalnych na dłuższą nie wyszła z polskich kręgów rządowych. Zaprzepaszczono też możliwość wyjścia z szerszą ofertą wobec innych, pozaeuropejskich regionów świata, co zaproponowałem jako „Inicjatywę Warszawską”. Polska mogła na tym zbić wielki kapitał polityczny, ale politycy zajęci są głównie troską o własne kapitały i wzajemnymi utarczkami.
To smutne, że podczas polskiej prezydencji w Unii nasz rząd dowiaduje się z doniesień agencyjnych o wspólnych propozycjach niemieckiej kanclerz i francuskiego prezydenta, o inicjatywach komisarzy UE czy zaatlantyckich pomysłach, a sam nic istotnego do wspólnej europejskiej sprawy nie wniósł. Jeszcze trzy miesiące, a skończy się ten okres i za granicami nikomu z niczym prezydencja Polski nie będzie się kojarzyć. Szkoda.

Może zostanie zapamiętane wystąpienie Rostowskiego, od którego zaczęłam. Ono było na miarę czasów? Czy Rostowski ma szanse być liderem europejskim?
– Liderem? Europejskim?! Jak może być liderem ktoś, kto nie potrafi dobrze pokierować budżetem? Ktoś, kto doprowadza swą błędną polityką do rozległego kryzysu finansów publicznych? W zeszłym roku deficyt prawie 8 proc. PKB, w tym 6 proc., w przyszłym roku stagnacyjne tempo wzrostu PKB, prawdopodobnie poniżej 2 proc., a więc stagnacja albo spadek płac realnych i emerytur. Inflacja rośnie, bezrobocie nie spada, dług publiczny przekracza 55 proc. PKB. Jak można mówić o jakiejkolwiek pozycji europejskiej, skoro nie potrafi się nic konkretnego zaproponować i nic skutecznego przeprowadzić w odniesieniu do finansów – podatków, wydatków, transferów budżetowych – podczas polskiej prezydencji? To smutne, ale polskiego ministra finansów Europejczycy o nic nie pytają nawet podczas spotkania, które z klucza odbyło się w Polsce…

Jakie konsekwencje dla Polski może mieć przedłużający się kryzys w Europie?
– Nic dobrego nam to nie wróży. Śladowe tempo wzrostu u naszych partnerów obniża naszą dynamikę, gdyż trudniej w takich warunkach lokować tam nasze produkty eksportowe. Mniejszym strumieniem dopływają do nas inwestycje z zagranicy. Mniejsze też są przekazy od Polaków pracujących w bogatszych krajach Unii. Ucieka od nas kapitał i jeszcze bardziej nerwowe niż zazwyczaj są reakcje spekulantów, co przekłada się na dezinformujące przedsiębiorców i ludność wahania kursu złotego. Spada zaufanie do tzw. wyłaniających się rynków, do których wciąż zaliczana jest Polska. A to wszystko bynajmniej nam nie pomaga. Jednakże główny problem to nie „przedłużający się kryzys w Europie”, lecz trwający od kilku lat kryzys polityki gospodarczej posolidarnościowych rządów.

Najbliższe miesiące mogą pana zdaniem przynieść jakieś światowe załamanie, tąpnięcie?
– Nie. Ale – raz jeszcze – wyobraźnię trzeba mieć. Jak piszę w książce „Wędrujący świat”: „Rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, ponieważ wiele dzieje się naraz”. Gdyby nałożyło się na siebie drastyczne pogorszenie sytuacji w USA wskutek nierozwagi tamtejszych polityków i braku zdolności republikanów i demokratów do porozumienia się w imię dobra ogólnego; gdyby w Japonii wzmogły się tendencje deflacyjne, czyli zabójczy dla opłacalności produkcji spadek cen; gdyby w Chinach wskutek głębszego niż się obecnie spodziewamy spadku tempa wzrostu (dochód narodowy rośnie tam wciąż o 7–8 proc.) doszło do wybuchu niezadowolenia społecznego; gdyby miliony uchodźców z targanych wstrząsami krajów arabskich zaczęło zalewać migracyjną falą Europę; gdyby Izrael zbombardował nuklearne instalacje Iranu, co spowodowałoby skokowy wzrost cen energii; gdyby Niemcy palnęły największe od czasów wojny głupstwo i postanowiły jednak opuścić strefę euro – to mielibyśmy się z pyszna! Ale – na szczęście – czekają nas tylko niektóre z tych nieszczęść. A „załamania”, „tąpnięcia” i różne tam kolejne „czarne” dni tygodnia na tej czy innej giełdzie naprawdę niewielkie mają znaczenie.

Jakie są w ogóle przyczyny światowego kryzysu?
– To nie jest kryzys koniunkturalny, jak się niektórym naiwnie wydaje. To nie jest kryzys spowodowany nieuczciwością paru finansistów i spekulantów czy nieudolnością iluś tam polityków i menedżerów. To jest kryzys ustrojowy. To systemowy kryzys neoliberalnego kapitalizmu, który – wykorzystując deregulację rynków i tzw. innowacje finansowe oraz osłabiając państwo, z którego przy pomocy usłużnych mediów uczynił wroga publicznego numer jeden – sprzyja wzbogacaniu nielicznych kosztem licznych. Neoliberalizm pomylił środki rozwoju z celami. W Polsce już po raz trzeci – po szoku bez terapii na początku lat 90. i po schładzaniu bez sensu pod ich koniec – doprowadził do załamania budżetu państwa i stagnacyjnych tendencji w sferze produkcji, nakręcając dobrobyt dla bardzo nielicznych kosztem szerzenia biedy jakże wielu innych. Na takiej ideologii i praktyce gospodarczej nie da się budować lepszej przyszłości.

Kołodko zaprasza do dyskusji
Prof. Kołodko, autor bestsellerów „Wędrujący świat” i „Świat na wyciągnięcie myśli”, zaprasza do dyskusji na www.facebook.com/kolodko

Jakie są możliwości wyjścia z tego kryzysu?
– To długa i żmudna droga. Trzeba umiejętnie poruszać się w ramach trójkąta, którego trzy wierzchołki to: wartości, instytucje i polityka. Wartości muszą się zmieniać od „mieć jak najwięcej” do „być jak najbardziej”. To pragnienia i dążenia, które poprzez motywacje uruchamiają nasze gospodarcze działania. Instytucje to regulacje. Nie można rynku pozostawić jedynie jego słynnej niewidzialnej ręce. Współdziałać, a nierzadko korygować musi go widzialna ręka państwa. I wreszcie polityka musi traktować budżet, deficyt, podatki, stopy procentowe, kursy walutowe, prywatyzację nie jako cele, lecz środki do celu, którym jest długofalowy i zrównoważony – ekonomicznie, społecznie i ekologicznie – rozwój.

REKLAMA